

Guy de Téraumont.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

29

— Przyszedłem tutaj i wątpić nie mogłem, że człowiek, który tu palił spokojnie ten tytoń meksykański...

Słyszac te słowa ostatnie Lapipé szybko wyciągnął z ust papierosa i obejrzał tufkę, na której odnalazł zatarcie już trochę znaki.

„Brakmonds, Meksyk!” — zawołał blednac — a więc?...

— Co się stało?

— W pokoju hotelu pod „Nadzieją”...

— Gdzie pan nadszedł na pomoc baronowej Braeursweski...

— Ah! cóż u diabła — zawołał ze złością Lapipé. — Więc pan wie wszystko?...

— Co pana to obchodzić może? Niech pan mówi dalej...

— Człowiek, który znikł tak nagle z hotelu, po wyratowaniu baronowej, pozostawił po sobie jeden jedyny ślad, tufkę podobną z takimi znakami.

— A więc — zakonkludował detektyw z flegmą — to jeszcze on, taksamo mandaryn, który ofiarował panu tego papierosa...

— I który następnie poszedł uprzedzić pana...

— Ażeby zakpić sobie z nas obydwu...

— Z pana, kochany panie Newton...

— Co znowu?... — zaprotestował Newton dotknięty. — Jakiż by mógł mieć w tem interes?

— Oh! odgadnąć tego nie mogę — zaśmiał się Lapipé. — To nie ja przecież gonilem za mordercą Urs Acstion!

— Newton był już bliski rozniewania się na dobre. Ale opamiętał się szybko, znajdując to niepotrzebne.

— No, mój kochany Lapipé — podjął po chwili — zamiast się kłócić, czy nie lepiejby pan zrobił starając się pochwycić tego ptaszka...

— On był w zielonym kostymie nieprawdaż?

— Tak... Ale to będzie jak sądzę dosyć utrudnione aresztowanie...

— Czy nie zechce mi pan dopomóc?

— Kochany panie Lapipé! jestem trochę zmęczony i poprosić właśnie pana chciałem o pozwolenie udania się na spoczynek.

— To dobrze — odparł z lekką urazą inspektor. — Zresztą nie potrzebuję nikogo. Do widzenia panie Newton!

— Do widzenia panie Lapipé.

Uściskawszy rękę kolegi Newton oddalił się. Przez chwilę szukał po salach domino różowoczarne, aby je uprzedzić o swoim zamiarze opuszczenia balu. Ale niedostrzegłszy go, przypuścił, że baronowa również musiała już odjechać i wyszedł na ulicę zupełnie zadowolony z wieczoru.

Lapipé tymczasem udał się w pościg za swoim mandarynem.

Ale Paweł de Vareillés przewidział tę okoliczność. Jak tylko obydwaj defektywi stanęli wobec siebie, zdjął szybko swój kostium i pozostał w przebraniu Arlekina, który przezornie włożył pod spód i w ten sposób boer wyprowadzony w pole, napróżno obiegał wszystkie sale i opuścił bal zdenerwowany i wściekły już nad samym ranem, po rozjechaniu się prawie wszystkich gości.

Szczególny zakład.

Nazajutrz rano baronowa Brauersweski zapytowała się nie bez przyczyny, dlaczego attaché ambasady włoskiej nie pojawił się na balu. Nadejście Newtona i wyjaśnienia jego uspokoiły ją trochę. Prawdopodobnie było, że jeżeli astrolog nie przyszedł na oznaczoną schadzke, to dla tej przyczyny, że wiedząc, iż tam spotkać może Lapipé'a z towarzyszącymi, odłożył to spotkanie na chwilę sposobniejszą.

Piękna Rosyanka była więc prawie już uspokojoną, kiedy zaanonsowano hrabiego Fraskopeli. Ażeby kapitan zapomniał tak o wszystkich ostrożnościach wzbraniających mu ukazanie się na ulicy Cosquet, musiał być powód ważny.

— Niech wejdzie... — oznajmiła baronowa, silnie zainteresowana i zwracając się do detektywa, który odejść chciał dodała:

— Niech pan zostanie, panie Newton. Rada pana może nam być bardzo potrzebną.

Fraskopelly powróciwszy z balu chciał obejrzeć papiery wręczone mu za cenę pięćdziesięciu tysięcy franków. Jakież było jego zdumienie



— Jestem zgubiona!... Policja wie owszystkiem!...

i wściekłość, kiedy po otwarciu koperty spostrzegł, że zawierała ona tylko ćwiartki niezapisanego papieru. Przyszedł więc z tą wiadomością do baronowej, rozniewany i niespokojny, nierozumiejąc co to mogło znaczyć.

— Więc pan był wczoraj na balu? — prze-rwała mu baronowa.

— Oczywiście!... w kostymie mnicha białego, tak jak o tem panią uprzedziłem.

— Przepraszam mój przyjacielu... miał pan być w przebraniu astrologa — poprawiła baronowa pokazując mu bilecik otrzymany od niego.

— Ależ to nie jest ta kartka, którą pani da-łem w teatrzel — zawołał Fraskopelly. — Co to ma znaczyć?... Któż więc było to domino niebiesko-żółte, które wręczyło mi akta i któremu wzamian wręczyłem kopertę z pieniędzmi. Na chwilę nawet nie wątpiłem, że to była pani...

Zelektryzowana nagle przecuciem baronowa, podeszła do biurka, gdzie zamknięta w szufladce leżała koperta, którą napróżno wczoraj wzięła ze sobą, udając się na bal. Szybkim ruchem rozwiązała sznurek, zerwała pieczętki i nagle twarz jej przyoblekła się siną białością. Koperta zawierała tylko kawałki dzienników.

Obydwaj współnicy spojrzeli na siebie z prze-rażeniem.

— A przecież to ja sama włożyłam te akta do kasy bankiera — szepnęła baronowa po dłuższej chwili milczenia — ja sama je stamtąd wydobylam, nikt oprócz mnie i niego nie znał cyfry odmykającej kasę.

— Jakaż to była cyfra — zapytał Newton milczący dotąd.

— 247851...

— 24785?! — zawołał detektyw, przypominając sobie o rozmowie swojej z Lapipé'm w gabinecie sędziego śledczego — ależ to jest ta sama cyfra, która była wypisana na skrawku papieru pozostawionym przez mordercę w pokoju, który zajmował ponad mieszkaniem ofiary swojej.

— A więc?

— Był więc ktoś, któremu zależało na posiadaniu tych papierów, chociażby za cenę zbrodni...

Słowa te podziały piorunująco na baronowę. Napół zemdlona, śmiertelnie biała usunęła się na fotel szepcząc:

— Jestem zgubiona!... Policja wie o wszystkim!...

W godzinę później baronowa Brauersweski wsiadała do pośpiesznego pociągu idącego za granicę, drżąc jak w febrze, aby nie być zaaresztowaną jeszcze przed ruszeniem pociągu. Służbie zdziwionej tym nagłym wyjazdem oznajmiła, iż została zawezwana do Rygi, do śmiertelnie chorej kuzynki.

Dyrekcja Policji, uznając za rzecz niepotrzebną wtajemniczenie szerszego ogółu o powody nagłego zniknięcia baronowej, wysłała do niektórych dzienników małą notatkę, w której wspomniano o jakiejś nie-szczęśliwej awanturce miłosnej pięknej Rosyanki, a opinia publiczna, zaciekawiona tą sensacją, nie pytała już o więcej.

Po zatrzymaniu jakiś czas w aresztach policyjnych bandy „Asów Kierowych”, wypuszczono je na wolność. Nie było można również stawić ich wszystkich przed sądem przysięgłych, choćby z tego powodu, że sprawa z ulicy Ramus zanadto stałaby się głośną, a zależało wiele policji na zafuszowaniu jej jaknajprędzej.

W ten to sposób, winowajcy, którzy powinni być byli osądzeni z całą surowością prawa, uszli bezkarnie, korzystając z obawy komplikacji międzynarodowej.

Co zaś do hrabiego Fraskopelly, to tenże na zażalenie naszego ambasadora w X., który zarzucał mu odgrywanie bardzo dwuznacznej roli politycznej, został przez władze bezwzględnie zawiezany do powrotu do swojej ojczyzny.

Jednakże jeszcze przed wyjazdem zaaranżował on obiad pożegnalny, na który zaprosił wszystkich swoich przyjaciół. Obiad ten odbywał się w najmodniejszym kabarecie Paryża. Przy stole zastanym kwiatami siedzieli: książę Visconti, sekretarz ambasady; hrabia Otto de Schlakenburg; Markiz de Vantreillés, sławny sportsmen; komendant Potriebeneff; Reginald Farweth, bogaty amerykańczyk; z kobiet zaś: uroczą Róża Frenneta śpiewaczka operetkowa, piękna Otero, Zuzanna Dervannes i Sminta de Fradesy, cyrkówka sławna na cały Paryż. Potrawy były doborowe i wino najlepszej marki, podane w takiej obfitości, że już po jakimś czasie zaproszeni goście okazywali niezwykle podniecenie, ujawniające się u niektórych lekkim zantymieniem przytomności.

Podawano już dessery, kiedy nagle kapitan Fraskopelly powstał z trudem z krzesła i uderzając nożem o szklanekę, wyrzekł podniesionym głosem:

— Panowie i Panie! oznajmiam wam, że przed chwilą nastąpił pomiędzy mną a komendantem Potriebeneffem zakład...

— Zakład!... Zakład!... Jaki zakład? — pytano ciekawie wokoło.

(Ciąg dalszy nastąpi).